

RYSZARD KAPUŚCIŃSKI



GORZKI

SMAK

WODY

**Gorzki
smak
wody**

Ryszard Kapuściński

Gorzki
smak
wody

Indie, Afganistan, Japonia, Chiny.
Pierwsze reportaże z wielkiego,
dalekiego świata

Kontynenty
Zielonka 2024



Koncepcja, redakcja, korekta:

Redakcja-Kreacja

Skład:

Patrycja Wojkowska
(Behance – portfolio)
patrycja.wojkowski@gmail.com

Projekt okładki:

Tomasz Fedor

Wydawca:

Oficina Wydawnicza Kontynenty
ul. Klonowa 13
05-220 Zielonka
redakcja@magazynekontynenty.pl

Copyright © by Oficyna Wydawnicza Kontynenty 2024

Copyright © 2024 by the Estate of Ryszard Kapuściński

Indie – Photo Copyright © 1999 by Ryszard Kapuściński

(ss. 68-85)

Japonia, Chiny – Photo Copyright © 1957 by Ryszard Kapuściński

(ss. 168-175 i 180-193)

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

Wydanie I

Zielonka 2024

ISBN: 978-83-972159-1-7

Druk:

PRINT GROUP Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością

ul. Księcia Witolda 7-9

71-063 Szczecin

Wysyłamy cię. Pojedziesz do Indii

(...)

Ukończyłem studia i zacząłem pracować w gazecie¹. Nazywała się „Sztandar Młodych”. Byłem początkującym reporterem, jeździłem śladem nadsyłanych do redakcji listów. (...)

Trasa prowadziła mnie czasem do nadgranicznych wiosek (...). Kusiło mnie, żeby zobaczyć, co jest dalej, po drugiej stronie. Zastanawiałem się, co się przeżywa, przechodząc granicę. Co się czuje? Co myśli? Musi to być moment wielkiej emocji, poruszenia, napięcia. Po tamtej stronie – jak jest? Na pewno – inaczej. Ale co znaczy to – inaczej? Jaki ma wygląd? Do czego jest podobne? A może jest niepodobne do niczego,

1 Ryszard Kapuściński, *Podróże z Herodotem*, Czytelnik 2020, ss. 13-15.

co znam, a tym samym niepojęte, niewyobrażalne? Ale, w gruncie rzeczy, największe moje pragnienie, które nie dawało mi spokoju, nęciło mnie i dręczyło, było nawet skromne, bo mianowicie chodziło mi tylko o jedno – o sam moment, sam akt, najprostszą czynność przekroczenia granicy. Przekroczyć i zaraz wrócić, to by mi, myślałem, zupełnie wystarczyło, zastąpiło mój niewytłumaczalny właściwie, a jakże ostry głód psychologiczny.

Ale jak to zrobić? Z moich kolegów w szkole i na studiach nikt nigdy nie był za granicą. Jeżeli ktoś miał kogoś za granicą, wolał się z tym nie afiszować. Sam byłem zły na siebie z powodu tej dziwacznej pokusy, która mnie jednak ani na chwilę nie opuszczała.

Kiedyś na korytarzu w redakcji spotkałem swoją redaktor naczelną. Była postawną, przystojną blondynką o bujnych, na bok zaczesanych włosach. Nazywała się Irena Tarłowska. Mówiła coś o moich ostatnich tekstach, po czym w pewnym momencie spytała mnie o najbliższe plany. Wymieniłem kolejne wioski, do których miałem jechać, i sprawy, jakie tam na mnie czekały, a potem odważyłem się i powiedziałem: – Kiedyś chciałbym bardzo pojechać za granicę. – Za granicę? – powiedziała zdziwiona i lekko wystraszona, bo wtedy nie było rzeczą zwyczajną wyjeżdżać za granicę. – Dokąd? Po co? – spytała.

– Myślałem o Czechosłowacji – odparłem. Bo nie chodziło mi, żeby gdzieś do Paryża czy Londynu, nie, tych rzeczy nie próbowałem sobie wyobrazić i nawet mnie nie ciekawiły, chciałem tylko, żeby gdzieś przekroczyć granicę, wszystko jedno którą, bo dla mnie ważny był nie cel, nie kres, nie meta, ale sam niemal mistyczny i transcendentálny akt przekroczenia granicy.

Od tamtej rozmowy minął rok. W naszym pokoju reporterów zadzwonił telefon. Szefowa prosiła mnie do siebie. – Wiesz – powiedziała, kiedy stanąłem przed jej biurkiem – wysyłamy cię. Pojedziesz do Indii.

Pierwszą moją reakcją było oszołomienie. A zaraz potem – panika: nic nie wiem o Indiach. Gorączkowo szukałem w myślach jakichś skojarzeń, obrazów, nazw. Nie znalazłem: o Indiach nie wiedziałem nic. (Idea podróży do Indii wzięła się stąd, że kilka miesięcy wcześniej odwiedził Polskę pierwszy premier kraju spoza bloku sowieckiego, a był nim przywódca Indii Jawaharlal Nehru. Nawiązały się pierwsze kontakty. Moje reportaże miały przybliżyć tamten daleki kraj).

**Indie
z bliska**

Co się nie udało Kolumbowi...

Twarz Hinduski uśmiecha się z plakatu. Dziewczyna stoi w cieniu palm, daleko mroczniejsze zarys antycznej świątyni. Dołem biegnie napis: VISIT INDIA! Hinduska jest piękna, pięknym ludziom niczego się nie odmawia.

– Dobrze, zwiedzimy Indie – mówi pięćdziesięciu przygodnych ludzi, wykupuje bilet za słone pieniądze i daje się bez protestu połączyć powietrznemu olbrzymowi; czteromotorowy olbrzym stoi na lotnisku w Rzymie i zawiezie ich do Bombaju.

Sadowiąc się w fotelach, pasażerowie wyrażają zadowolenie, że udało im się żyć w połowie dwudziestego wieku, co stwarza gwarancję, że jutro o tej porze będą już w Indiach: 8000 kilometrów w 20 godzin!

Tylko polski pasażer nie podziela tych radości. Gdyby to było sto lat temu – myśli – taka podróż trwałaby rok. Każdy dzień byłby przygodą, można by napisać cały tom. O takiej przejażdżce nie da się skłecić nawet trzech zdań. W dobie błyskawicznej komunikacji umiera śmiercią naturalną literatura wielkiej wędrówki, książki podróżnicze sprzed pół wieku zalatują myszką jak rymy starego Homera. Jakież emocje może przeżyć człowiek, skoro lot z Pekinu do Paryża trwa tylko 19 godzin, włączając wszystkie postoje i zwiedzanie Wiednia?

Polski pasażer jedzie w środkowym rzędzie, mając lewego sąsiada z lewej strony i prawego z prawej. Lewy sąsiad jest starym Hindusem, prawy – starym Anglikiem. LEWY wraca do domu, PRAWY wyjechał z domu, żeby ratować swój business w Indiach. – Tubylcy – mówi rozgoryczony – zaczynają ograniczać prawa naszych spółek. Ci ludzie – dodaje, poprawiając się w fotelu – nie rozumieją, że kręcą pętlę na własną szyję. Czy pan wie, jak będzie wyglądać gospodarka Indii bez Anglików?

Nie, nie wiem, jak będzie wyglądać gospodarka bez Anglików, ale sąsiad z lewa opowiada mi, jak wyglądała gospodarka z Anglikami: – Powszechna nędza. Średniowiecze trwa do dziś.

Obaj mówią cicho, obaj są przygłusi, obaj się nie słyszą. Pod nami jezioro świateł. Lądujemy w Kairze. Wypijamy szklanekę „grape fruitu”², stwierdzamy, że Egipcjanie są czarni i chodzą w sutannach, tyle że białych, notujemy w pamięci, że jednak się postawiło nogę na afrykańskim kontynencie i wsiadamy do samolotu. Huk motorów, wycie motorów, szum motorów – odjazd.

Samolot oblepia gęsta ciemność, nie widać nic pod nami, nic nad nami, przestrzeń kurczy się do rozmiaru kabiny. Jedyne, co można dostrzec, to ciężki zarys skrzydła i małe światełko. Zielona gwiazda zapala się i gaśnie co sekundę.

Śpimy.

O świcie okazuje się, że piloci zgubili drogę. Lecimy nad jakąś inną planetą. (Może to Księżyc?). Potwierdzamy przewidywania uczonych: rzeczywiście nie ma tam życia. Martwa spękana skorupa, rumowisko zwietrzałych skał, pustynia bez śladu zieleni. Planeta ma kolor brązowy, miejscami szary, w sumie ponury. Zieje pustką, grozi śmiercią, jest bezlitośnie jałowa, dzika, odpychająca.

2 Tak w oryginale. W całej książce zachowaliśmy pisownię, jaka obowiązywała wtedy w polszczyźnie i jaką stosowano w „Sztandarze Młodych”, poprawiając jedynie oczywiste błędy redakcyjne i drukarskie.

„Oto znaleźliśmy się tam – układamy pierwsze słowa komunikatu dla Ziemi – gdzie nie stanęła dotąd stopa żadnego człowieka. Jest to bryła popiołu zebranego z palenisk Słońca. Niestety, nie mamy urządzeń badawczych, aby dokonać...”. Nagle sąsiad z prawej ożywia się. Przykleja nos do szyby i mruży: „Pipeline”. Rzeczywiście: po tym niezziemskim wydmuchu biegną, jak okiem sięgnąć, proste kreski. Kreski stają się zaraz grubymi liniami, potem już wyraźnie widać, co to jest. To nie jest Księżyc! Jesteśmy nad Pustynią Arabską pociętą systemem przewodów naftowych. Sąsiad z prawej zamyśla się. Wzdycha.

Czy również ma wzdychać LEWY i ja? Oczywiście nie. Nasze pieniądze są w kieszeni, ani jeden grosz nie płynie nam przewodem naftowym i ani jeden Arab nie stara się nam nic zabrać. Wobec tego – spokojni – rozmawiamy.

– O Indiach Europa czerpie wiedzę z Kiplinga³ – zaczyna LEWY. – Czytał pan Kiplinga? No właśnie.

3 Rudyard Kipling (1865-1936) – urodzony w Bombaju (Indie Brytyjskie) angielski pisarz, laureat literackiej Nagrody Nobla (1907). Sławę przyniósł mu zbiór opowiadań pt. *Księga dżungli*. Kapuściński, jadąc do Indii, znał też na pewno wydane w Polsce w 1904 roku jego pełne indyjskich odniesień *Listy z Japonii* (dowody na to przytacza Dariusz Fedor we *Wstępie* do wydanych na nowo w 2024 roku przez Oficynę Wydawniczą Kontynenty *Listów...*).

A Rygwedę⁴? Nie? No widzi pan! Tak, tak, wy sobie wyobrażacie, że to jest jakaś wielka egzotyka usiana setką przygód. Palmy, słońce, kobiety... Mój panie, w 1943 roku byłem w Bengalu. Ludzie umierali z głodu na moich oczach. Też egzotyczne, prawda?

– Indie to ogrom. Bardzo zresztą dziwaczny. Pierwotność i nowoczesność, hinduizm i muzułmaństwo, wolność i niewolę, nędzę i przepych, zabobon i wiedzę, sochę i traktor, najwyższe góry i największe depresje, dżungle i pustynie, susze i monsuny, kunszt i tandetę, okrucieństwo i pokorę, ruch i martwość, język urdu⁵ i język gudżarati⁶, Europę i Azję – proszę wziąć tysiąc takich rzeczy, wrzucić to do jednego kotła, mieszać przez cztery tysiące lat, jak to robiła Historia, a potem to wszystko

4 Rygweda – najstarszy literacki zabytek indoaryjski, księga kapłańska, zbiór hymnów religijnych wchodzący w skład wed.

5 Urdu – język niemal identyczny jak hindi, ale – w odróżnieniu od niego – posługujący się pismem arabskim i zawierający wiele zapożyczeń z arabskiego i perskiego (hindi czerpie z sanskrytu i korzysta z pisma dewanagari). Główny urzędowy w Pakistanie, jeden z urzędowych w Indiach. Uznawany za język elit intelektualnych i państwowych.

6 Język gudżarati – jeden z urzędowych języków w Indiach, mówi nim ok. 61 milionów mieszkańców Indii, głównie w stanie Gudżarat, a poza Indiami w Tanzanii (ok. 250 tys. osób), Ugandzie (ok. 150 tys.) i Kenii (ok. 50 tys.). Ojczysty język m.in. Mahatmy Gandhiego i Freddiego Mercurego, wokalisty Queen.

wyjąć i rozłożyć na ogromnym obszarze ziemi. Co pan otrzyma? Właśnie – Indie.

Patrzy z triumfem na mnie: siedzę zmiażdżony tą wizją, czując, jak cała wiedza nagromadzona przed wyjazdem leci mi na łeb na szyję do zera.

Kończy się Półwysep, zaczyna się morze.

Ten widok przypomina o proszku. Proszek ma hamować apetyty rekinów i znajduje się w każdej kamizelce ratowniczej. Jeśli samolot kropnie się do wody, trzeba rozsypać proszek. Podobno wtedy rekiny nie połkną. „Czy można to sprawdzić?” – pyta ktoś z głupia frant. „Nie, lepiej nie” – śmieje się pilot.

Tymczasem PRAWY zapada w drzemkę: nie ma już nafty. Jedni czytają, drudzy rozmawiają, a potem wszyscy śpią.

Ze snu wyrywa nas okrzyk: Ziemia! Coś nam to przypomina. Przecież się człowiek o tym uczył! „Załoga Kolumba – pisały podręczniki szkolne – szukając drogi do Indii, po morderczej podróży dostrzegła na horyzoncie pasmo lądu. Jeden z marynarzy krzyknął: ziemia! Jednakże Kolumb nie dotarł do Indii: była to Ameryka”.

Ale nasz Super-Constelation ma świetne urządzenia nawigacyjne i na pewno to, co jest jeszcze wąskim pasmem, zamgloną smugą, śladem na

horyzoncie, nie ma nic wspólnego z Ameryką: to Indie.

Na ten widok LEWY sąsiad porusza się radośnie, PRAWY raczej niechętnie, a samolot schodzi do lądowania.

Na lotnisku w Bombaju polski pasażer w ciągu sekundy oblewa się potem i czuje, że nie ma czym oddychać. Nagle słyszy pytanie:

– *Are you very tired, sir?*⁷

Obraca się i w tym momencie oddech zatkało mu do reszty. Skąd on zna tę twarz? Ach oczywiście: to hinduska dziewczyna z plakatu. Stoi żywa, uśmiecha się i sprawdza paszporty. Plakat nie kłamał: jest piękna.

*24 stycznia 1957 roku*⁸

7 Ang.: Czy jest pan bardzo zmęczony?

8 Daty umieszczone pod każdym tekstem określają nie czas, w którym miała miejsce dana podróż, lecz datę publikacji reportażu w „Sztandarze Młodych”.

Gorzki smak wody

Kto wyrzucił te tłumy z wiosek – pan?

Nie, nie pan.

Kto zburzył ich domy – wojna?

Nie, nie wojna.

Kto zabrał im ryż, trzcinę i krowy – złodziej?

Nie, nie złodziej.

Czy chcecie dalej śpiewać tę pieśń? Nie, nie chcemy, ponieważ wszyscy wiedzą, kto wyrzucił te tłumy, kto zburzył ich domy i zabrał ryż, trzcinę i krowy. To zrobiła powódź.

Wszystko złe na tym świecie jest wynikiem biurokracji. Cóż z tego, że tym razem jest to biurokracja niebieska? Centralny Zarząd Opadów nawala z dostawą deszczu dla Indii. Każdego lata. Słońce piecze miesiącami ziemię, pola są sztucznie nawadniane, z nieba nie leci ani kropla. W końcu okazuje

się, że w piotrowych magazynach jest za dużo wody. – Za dużo? – dziwi się dyrektor Centralnego Zarządu Opadów – no to lu! – I rzeczywiście leje. Między końcem lata i początkiem jesieni zjawia się deszczowa pora roku. Czarny czy raczej mokry miesiąc wypędza miliony Hindusów na skraj przepaści.

Przybysz z Polski, który nocnym samolotem przyjeżdża do Delhi, nie wie, że ląduje na pobożowisku. Rychło się o tym przekona. Wystarczy, że autobus ruszy z lotniska, że zacznie jechać w kierunku miasta.

Jechać? Nie może jechać! Klakson ryczy, szofer klnie, hamulce piszczą. Droga zasłana jest ludźmi. Pola – jak okiem sięgnąć – zasłane są ludźmi. To północ – kto wiedział, że będzie jechać samochód? A szosa jest ciepła, matki kładą na niej dzieci. Dzieci są gołe – nie mogą zmarznąć. Jeśli znajdzie się jeszcze skrawek miejsca, kładą się starcy: grzeją swoje kości. A przede wszystkim kładą się krowy: bez nich nie ma życia.

Autobus przebija się do miasta. Ma 20 kilometrów drogi. Jest czarna noc i widać tylko cienie w białych zawojach. Twarzy już nie widać. Są również czarne.

Ale w mieście nie jest lepiej. Miasto ma też ciepły bruk i ciepły asfalt. Tłum powodzian śpi

twardo na każdej ulicy. Jezdnia jest łóżkiem, niebo – nakryciem, poduszką – płyta chodnika: zdeptana, zakurzona, zapluta.

Od świtu nikt już nie śpi, za to wszyscy siedzą. Co można robić innego? Siedzą do wieczora, w tym samym miejscu położą się o zmierzchu, a od świtu...

Można zobaczyć powódź. Samochód gna ulicą Lower Bela do mostu na Dżamnie⁹. Po prawej stronie nagle wyłania się murek, w głębi płaski cementowy prostokąt. Kwiaty. Tabliczka: „Zdejm swoje buty”. Ludzie idą i zdejmują buty. Grób Gandhiego...

Dalej jest most: jedyne połączenie z prawym brzegiem. Woda podchodzi pod jezdnię. Woda jest wszędzie. Mulista, żółta toczy ospały nurt. Zalała brzegi, rozniosła się kilometrami w bok. Słońce pali, ale woda nie ustępuje. Jest jej zbyt dużo; śmieje się ze słońca.

Ludzie nie śmieją się z niczego. Ale również nie płaczą: są przyzwyczajeni. Rzeka wylewa co roku – czy to takie dziwne? Dziwne, bo można ją było ujarzmić. Tak, ale kto miał to zrobić? Anglicy?

9 Dżamna – chodzi o Jamunę, Jamnę (tak tę nazwę spolszczano jeszcze w latach 50. XX wieku, transkrybując z jęz. ang. zamiast z hindi), dopływ Gangesu w Indiach północnych, jedną ze świętych rzek hinduizmu.

Nie ma już Anglików, ale jeszcze nie ma zapór, nie ma wałów, brzeg jest płaski, wychodźcy żyją przy brzegu.

Osada powodzian nie jest osadą powodzian, tylko zwykłym kawałkiem ulicy albo placem, na którym siedzą, stoją, a niekiedy poruszają się wygnańcy z wioski. Kto zdążył zabrać matę – rozkłada ją na pustym miejscu. Kto zdążył poza tym zabrać trzy kije bambusowe, dwa wbija w ziemię, trzeci kładzie w poprzek, na to matę i ma szałas. Kto oprócz tego był w stanie wziąć jeszcze połamane wyrko i garnek – ma już cały dom. Życie nie jest tu życiem, jedzenie nie jest jedzeniem, tylko nędza jest naprawdę nędzą.

Nie trzeba się o nic martwić: to i tak nie pomoże.

W brudnej wodzie piorą brudne szmaty, brudna bielizna suszy się na ziemi.

Kopci się jakiś węgielek, czarna miska na węgielku, smród i muchy: to restauracja.

W kucki siedzi Hindus, przy nim w kucki drugi Hindus. Pierwszy drugiemu macha nożyczkami przy głowie: to zakład fryzjerski.

Gromada dzieciaków leży w kurzu, wodzi leniwie oczyma dookoła. Nie bawią się, są głodne.

Nic się tu nie dzieje. Samochód jedzie dalej. O parę kilometrów stąd: wojsko. Krążą pontony,

żołnierze zbierają, co się da zebrać: ludzi z drzew, tonące bydło, szczątki narzędzi. Gazety zamieszczają notatki: mieszkańcy wioski X siedzieli na drzewach osiem dni. Rząd wygrzebuje ostatni grosz na pomoc powodzianom. Minister finansów wzdycha: nie ma pieniędzy na plan. Nehru¹⁰ apeluje do narodu: wpłacajcie na fundusz powodzian!

Komunikaty: „W zachodniej części stanu Uttar Pradesh¹¹ ewakuacja ludności z terenów nisko położonych została zakończona”. „Mały okręg Muzaffarnagar¹² cały pod wodą. Zniszczone wszystkie zbiory. Zginęło 46 osób”.

Studenci przerywają wykłady – grupami jadą na pomoc. W kinach wyświetla się kroniki: mokry, skulony malec dostaje kubek mleka. Pije łapczywie. Zbliżenie: uśmiechnięta twarz dziecka...

10 Jawaharlar Nehru (1889-1964) – pierwszy premier niepodległych Indii od 15 sierpnia 1947 roku aż do śmierci 27 maja 1964 roku. 23 czerwca 1955 roku przybył z oficjalną wizytą do Polski, co zapoczątkowało „oficjalną przyjaźń narodów polskiego i hinduskiego”. Wyjazd R. Kapuścińskiego do Indii był jednym z efektów tej wizyty.

11 Popr. Uttar Pradeś. Jeden ze stanów Indii, leży na żyznych terenach Doliny Gangesu – jedyna jednostka administracyjna na świecie, która ma ponad 200 milionów mieszkańców. Na jego terenie są zlokalizowane najbardziej znane zabytki Indii, m.in. sanktuaria Waranasi, Ayodhya, Mathura czy grobowiec Tadź Mahal w Agrze.

12 Muzaffarnagar – miasto w stanie Uttar Pradeś.

Samochód jedzie dalej. Gdzieniegdzie woda ustępuje. Zostaje mulista, grząska maź. Chłopi wracają. Niosą zwinięte plecionki. To będzie dach. A reszta domu? Ten placek gliny to będzie dom. Ten placek gliny to był kiedyś dom. Z placka gliny ulepi się czworobok, na to położy się plecionkę: tak stanie się chata. Czy warto budować coś lepszego? Za rok z czworoboku woda zrobi placek, z placka chłop zrobi czworobok. Tysiąc lat temu też nie było inaczej. Do kogo mieć o to żal?

Nie wolno źle myśleć o Gangesie: Ganges przynosi powódź, ale Ganges daje życie. Dolina Gangesu jest spichlerzem Indii, żywi połowę narodu, na jej polach mieszka trzecia część ludności: 110 milionów ludzi!

Część z nich zaczyna swoją powrotną wędrówkę. Chłopi odnajdują działki, oczyszczają kanały, naprawiają studnie. Słońce pali, żar osłabia mięśnie. Wszystko od nowa. „Cztery miesiące w roku – komunikuje premier Stanu Uttar Pradesh – rząd zajęty jest usuwaniem szkód powodzi. Czy mogę podjąć normalne przedsięwzięcia?”.

Nie, premier nie jest w stanie tego zrobić. Powódź zawraca wszystko w tył. Kto może wiedzieć o tym najlepiej? Instytut Statystyki. Toteż gazety dzwonią do Instytutu: dajcie u licha te cyfry!

Chcecie cyfry? Oto są:

- 900 ofiar.
- 80 000 sztuk bydła zatopione.
- 1 070 000 rupii strat (przeciętny zarobek robotnika – 100 rupii).

Słuchawka opada po drugiej stronie przewodu. Parlament zbierze się wśród milczenia: groźny cień opadł na Indie. Powódź dezorganizuje życie kraju. Ustaje ruch pociągów, szosy zalewa woda. Zwalnia pracę przemysł, zatrzymują się budowy. Wybuchają epidemie i giną zbiory. Powódź rujnuje wieś, niszczy system nawadniania, dewastuje miasta.

Samochód jedzie dalej. Omija zalane drogi, grzęźnie w bagnach, słysząc jego sygnał, matki budzą się i zbierają niemowlęta z drogi. Wszędzie jest to samo. Nie ma końca ludziom, wodzie i tragedii.

28 stycznia 1957 roku

Czyściec w Benares

**Recepta na zbawienie • Przedsionek śmierci •
Gdzie bije serce hinduizmu • 300 000 bogów wy-
pełnia niebo Indii**

Okazuje się, że jest jeszcze jeden sposób na zbawienie. Wcale nie trzeba umierać, stawać na sąd ostateczny, siadać na wagę i drzeć w oczekiwaniu na wyrok. Można tego uniknąć, odbywając pielgrzymkę do Benares¹³. Sposób ten znaleziono w Indiach już trzy tysiące lat temu i odtąd Benares przyjmuje co roku mniej więcej milion

13 Benares, inaczej Waranasi – położone nad Gangesem prastare (wedle legendy założone przez boga Śiwę) i jedno z najświętszych miast hinduizmu, znane z kąpiei rytualnych i palenia zwłok na ghatach – kamiennych schodach na nabrzeżach Gangesu. Na obrzeżach miasta leży Park Jeleni, miejsce święte dla buddystów, którzy wierzą, że tu właśnie Budda wygłosił swe pierwsze kazanie na temat wprawienia w ruch Koła Dharmy.

spragnionych. Łatwo obliczyć, że daje nam to sumę trzech miliardów oczyszczaczy, czyli znacznie większą gromadkę, niż wynosi cała ludzkość aktualnie żyjąca na świecie. Bardzo optymistyczne! Gdyby ktoś stwierdził, że Benares pobił w tym zakresie wszystkie rekordy świata, należałoby przyznać mu rację.

Nie będziemy się jednak tym zajmować, ponieważ jest właśnie poranek, chwila najbardziej godna uwagi.

Zziębnięci, brudni i wychudzeni ludzie wstają z ulicznych legowisk. Wschodzące słońce użycza im pierwszego ciepła – jedyne, jakiego zaznają na tej ziemi. Poprawiwszy opaski na biodrach i turbany na głowach, ruszają w stronę rzeki. Chłopi z Pendżabu i Radżasthanu, z Hyderabadu i Biharu, mieszkańcy Ranczi i Dankitry, umęczeni drogą, strapieni życiem, bosi, zarośnięci i czarni przyspieszają kroku: nadzieja jest tak bliska.

Ciasne, cuchnące i stare uliczki napęlnia hałas, tłum i blask. Uliczki są tak małe, że nawet nie mają nazw, jest ich tak wiele, że nikt nie potrafi policzyć i są tak podobne, że na próżno chcieć je odróżnić. Na każdej sto sklepów, sto kramów, sto kilo odpadków, gromada przekupniów, gromada dzieci i gromada ryksz. Domki niskie i liche, otwarte ścieki,

strzępy firanek. Krzykliwa jaskrawość reklam mnoży brzydotę.

Ale to nie obchodzi pielgrzymów. Zaplątani w ten groteskowy labirynt, posuwają się instynktownie na wschód. W jakimś punkcie nurt uliczek zaczyna łagodnie opadać, potem już opada gwałtownie, łamiąc się w strome schody. Tymi schodami idzie się prosto do rzeki.

Im bliżej tego miejsca, tym wyraźniej rośnie w tłumie niespokojny pośpiech. Byłe nie dać się ubiec, nie stracić miejsca! Ale przejście jest coraz węższe, coraz trudniej jest iść, albowiem przebiega tu linia frontu, na której prowadzi regularne działania najbardziej natrętna armia świata... Tyraliery żebracze przypuszczają szturm za szturmem. Nie ma w nich cienia pokory – to nie są ofiary losu, oni wykonują swój zawód. Uzbrojeni w metalowe misy krzykiem i wytrwałością zdobywają nędzne grosze. Grożą, zaklinają, nie ustępują.

Kiedy pielgrzymom uda się już przełamać ten kordon, oddychają z ulgą. Okazuje się, że przedwcześnie wkraczając na schody, wstępują w przedsiónek śmierci. Mijają szare, dygocące ciała okręcone strzępami szmat: to ci, którzy umierają na malarię. Mijają szerniałe korpusy z wystającymi kikutami, z których mięsień odpada po mięśniu:

to ci, którzy są trędowaci. Mijają szkielety obciążnięte skórą, niezdolne się podnieść, nawet wyciągnąć ręki: to ci, których trawi gorączka głodu.

Ale maleńki grosik, niesiony przez biednego pielgrzyma w zakamarku turbana, wyłowił już żebrak. Cóż pozostaje teraz? Tylko nie zwracać uwagi i robić swoje.

Tłum wchodzi do wody, ciepła fala Gangesu sięga do kolan, potem do pasa. Wtedy się zatrzymuje.

Tymczasem słońce praży już na dobre, a Benares huczy nabożną muzyką. Ze świątyń dobiega stukot bębnów, zawrośnięcie fletów, trajkotanie grzechotek. Grajkowie nie szczędzą sił – im głośniej, tym większa chwała bogom. Takich muzycznych świątyń jest tu tysiąc pięćset, przedstawcie sobie, co za hałas! Pod stopy tysiąca pięciuset bogów syją się płatki kwiatów, płoną wonne kadziła, a stróżki świętych miejsc – wojownicze małpy – harczą co nie miara.

Na dziedzińcu świątyni Durgi¹⁴ wierni zabijają kozę, aby przebłagać gniew bogini. Szyję wylękłego zwierzęcia składa się na kamiennym słupku. W tym miejscu jest pełno plam krwi ściągających roje much. – Na tym samym słupku – wtajemnicza

14 Bogini hinduistyczna, niezwyciężona w boju – jej głównym zadaniem jest walka z demonami.

nas przygodny Hindus – zabijano w ofierze dzieci. Dzisiaj jest to zakazane.

Wejście do słynnej Golden Temple¹⁵ – złotej świątyni – tarasują żebracy. Siedzą w cieniu kopuły odlanej z tony złota albo w cieniu czterech mniejszych kopuł po pół tony srebra każda. – Tu bije serce hinduizmu – objaśniają przewodnicy.

Kilka uliczek dalej napomnienie o potrzebie zdjęcia butów i otwarte wejście do Bharata Mata¹⁶ – świątyni zbudowanej przez Gandhiego, pierwszej, do której prawo wstępu mieli niedotykalni, najniższa z kast.

Jeszcze parę pstrych uliczek i znowu Ganges. Gliniasta woda przelewa się ślimaczym nurtem. Biało ubrany tłum zażywa świętej kąpieli. Jedni stoją w wodzie, uniósłszy rękę ku słońcu.

15 Złota Świątynia – poświęcona Śiwie władcy wszechświata (Wiśwanatha), w obecnej formie zbudowana w 1776 roku. Jedno z 12 miejsc w Indiach, w których według tradycji objawił się bóg Śiwa w formie świetlistego słupa (lingamu). Turyści nie mają tam wstępu.

16 Bharata (albo Bharat) Mata znaczy Matka Indii – to pojęcie inspirowało indyjski ruch niepodległościowy od końca XIX wieku. Osobliwością jej świątyni w Waranasi jest marmurowa płaskorzeźba – idealistyczne wyobrażenie Akhand Bharat, czyli Niepodzielnych Indii albo Wielkich Indii, obejmujących – jako jeden naród – Afganistan, Bangladesz, Bhutan, Indie, Malediwy, Mjanmę, Nepal, Pakistan, Sri Lankę i Tybet.

Drudzy, zatkawszy palcami nos, zanurzają się w falach. Inni myją się, starannie wymawiając słowa modlitwy. Niektórzy przywędrowali tu z dzbanuszkami (ten trud będzie im specjalnie policzony). Nabierają w nie wody, wylewają i znowu nabierają. Przy tym śpiewają zawzięcie. Tak dokonuje się akt zmywania win.

W osobnym miejscu kąpią się wdowy. Są czymś gorszym od innych, ciężko obrażyły bogów, nie mają mężów. Przybyły tu na długie kąpiele. Ganges nie spłucze tego grzechu za jednym razem. Ich śpiew jest szczególnie żarliwy, ich przelewanie wody w dzbankach szczególnie wytrwałe. Potem suszą się na słońcu. Woda ocieka z ich szat.

Na pustym placu przy rzece gromada pielgrzymów otacza kapłana. Kapłan (jeden z 30 000 w Benares), czyta monotonna hymny Rygwedy – świętej księgi Hindusów. – Bogowie wiedzą wszystko, co czynią ludzie – mruczy głos – nawet jeśli ludzie chcą skryć swoje postęпки. – Obok leży miska, sypią się z brzękiem drobniaki: trzeba przebłagać bogów. Kapłan zgarnia monety i odchodzi powolnym krokiem...

Jednocześnie na stosach dopalają się ciała zmarłych. Stosy rozmieszczone są nad brzegiem Gangesu i kąpieli towarzyszy bez przerwy ponury śwąd palenisk. Przedsiębiorstwo pogrzebowe dostarcza na łodziach drzewo. Z całych Indii wloką się

tu dziadkowie, aby zemrzeć w świętym miejscu. Dziadkowie nie znają dnia swojej śmierci i często przychodzą za wcześnie. Nie mają grosza, wyczekują swojego dnia na ulicy. Popioły wśród przepi-sowych ceremonii wsypuje się do Gangesu.

Kiedy słońce zawiśnie wysoko, brzeg pustoszeje. Ostatni odchodzą wędrowni święci – dziwołagi jakich mało – tatuowani, obwieszani dzwonekami, malowani i brzęczący. Nikt im jednak nie bije pokłonów: tracą swoje wpływy...

Tłumy pielgrzymów wlewają się znowu w uliczki. Zastają miasto zajęte pracą. Największy w Indiach ośrodek rzemiosła artystycznego przygotowuje dla kraju i dla świata nową porcję cudów. Madenpura – dziel-nica ubogich rzemieślników – dostarczy rynekom cacek wykutych w metalu. Sprzedawca firmy „Indian Art Palace” – tkaniny i materiały – pokazuje klientom list z podziękowaniem od królowej Elżbiety. – Ubieramy królewską rodzinę – dodaje sprzedawca.

Wszystko to jednak nie dotyczy pielgrzy-mów – nie mają pieniędzy. Nie zatrzymując się dłużej, oczyszczeni z grzechów, wychodzą z mia-sta. Po drodze odwiedzają Sar Nath¹⁷ (pięć mil od

17 Sar Nath (Sarnath), znane dawniej jako Mrigadava, czyli Park Jeleni – patrz wyżej.

Benares), gdzie wielki Budda 2500 lat temu wygłosił swoje pierwsze kazanie. Stąd rozchodzą się do wiosek, miasteczek i miast.

Idą spaloną ziemią, dziesiątki, setki kilometrów, spokojni, że mogą teraz bez trwogi spoglądać w twarze bogów, których 300 000 wypełnia gorące niebo Indii.

31 stycznia 1957 roku

Człowiek i jego tygrys

- Człowiek ten – powiedział Santal – udusił tygrysa ręką.

Ostatniemu słowu nadał specjalny akcent i to angielskie *hand* zabrzmiało gardłowo i dobitnie.

– Jedną ręką! – dodał szybko, aby nie pozostawić cienia wątpliwości, że wypadek był naprawdę niezwykły. Tak, Santal czuł się nim poruszony. Santal, który strzelał do lwów!

– Ale ty tego nie zrozumiesz – zasmucił się. – Widziałeś tygrysy tylko w klatkach. W klatce urodzone, w klatce wychowane, żywioł bestii ujarzmiony kratą, to nie są tygrysy.

Skrzywił się pogardliwie, a potem wytarł powolnym ruchem spocone czoło. Wiatrak zawieszony u sufitu mełł lekkie powietrze tropikalnego południa, stojąca w szklankach coca-cola była ciepła i mdła.

– Zjesz banana? – spytałem, aby przerwać milczenie. Uczynił ruch, jakby oganiał się od szarańczy.

– Tygrys żyjący na swobodzie nie ucieka – ciągnął.
– Jeśli jest głodny, nie zna strachu. Rzuci się na armię uzbrojoną po zęby. Głód nie pozwala mu być ostrożnym. Traci cały swój spryt, przebiegłość, skrytość. Wali na oślep. Wtedy najłatwiej go zabić. Myśliwi szukają zawsze głodnych tygrysów. Wiedzą, że najstraszniejszy jest wtedy, kiedy jest syty. Smak krwi zwiększa jego pragnienie, ale zaspokojony żołądek pozwala mu na sztukę podstępny. Wtedy pokazuje, co umie. Staje się nieuchwytny jak oddech wiatru. Nie da się wytropić.

Tygrys z wioski Mahendragiri

Pauza. A po chwili:

– Ten tygrys był właśnie syty. Ale stało się to już później. W dniu, kiedy pojawił się na wzgórzach Mahendragiri¹⁸, miał brzuch pusty jak przebity

18 Mahendragiri – zielona góra (1501 m n.p.m.) w północnej części Ghatów Wschodnich (stan Orisa), w paśmie Malija. Obszar ogromnej bioróżnorodności. Miejsce związane z piękną opowieścią. W eposie Ramajana (patrz przypis 33) czytamy, że król Dżanaka ogłosił konkurs: kto napnie łuk Śiwy, dostanie jego córkę, Sitę, za żonę. Żaden ze śmiazków nie podołał zadaniu, aż pojawił się bóg Rama, który naciągnął cięciwę tak mocno, że łuk Śiwy pękł.

kokos. Jakaś kobieta, która poszła do dżungli po drzewo, wróciła z krzykiem do wioski. Twierdziła, że stokiem wzgórza biegł tygrys. Mieszkańcy Kodayaru słuchali w milczeniu i kręcili głowami. Nie chcieli wierzyć. Tygrysów nie było w tej okolicy od lat. Ale kobieta przysięgała na wszystko. Zresztą, ponieważ jej dom leżał na skraju wioski, powiedziała, że nie będzie tam spać. I przeniosła się do sąsiadów.

– Drugiego dnia zdarzył się wypadek, który napełnił wioskę grozą. Pastuch siedzący na drzewie został zaatakowany przez tygrysa. Kodayar zszarżał ze strachu. Krowy wprowadzono do domów, a ludzie nie wyszli do pracy.

– Co robił w tym czasie Kanthan? – Santal zadał pytanie sobie samemu, albowiem imię to nie mówiło mi nic, nawet nie wiedziałem, czy na pewno oznacza ono człowieka. Ale okazało się, że tak. Kanthan – niewdzięczny syn ubogich rodziców – mieszkał w tej wsi. Był nicponiem, lekkoduchem i zakałą. Miał już 25 lat i nigdy nie tknął się pracy w polu. Wieczorami zbierał bandę urwisów i szli na dziedziniec świątyni, gdzie nagrzane za dnia kamienie dawały ciepło, mimo chłódów ogarniających powietrze Kanthan opowiadał o krokodylach. W pobliskim jeziorze żyło

stado płazów¹⁹ i ambicją Kanthana było je wytepić. Zwabiał po kolei każdego z nich do zatoczki, gdzie zamykał krokodylowi odwrót i czekał aż ten zdechnie z głodu. Dzień, w którym przynosił do wsi skórę, dawał mu rzadki posmak triumfu.

– Otóż Kanthan – podejmował opowieść Santal – również wtedy był przed świątynią. Tam spotkały go kobiety wracające od jeziora z wodą. Posłyszał śmiechy, nazwały go tchórzem: skrył się pod skrzydła bogów, aby ocalić swoje leniwe ciało. Miał ambicję i to skłoniło go do działania.

– Uzbroił się w nóż i pałkę, po czym usiadł na drodze: postanowił wyczekiwać nadejścia tygrysa. Był to pomysł szaleńca. Na tygrysy poluje się zawsze gromadą zaopatrzoną w broń palną. Ale matka nie mogła go przebłagać. Został na drodze sam wśród nocy i niepokoju pobliskiej dżungli. Nad ranem zmorzył go sen. Zasnął. W chwilę po tym tygrys porwał krowę z zagrody naczelnika wsi. Rankiem znaleziono strzępy, z których dokładnie wyssana była krew: znak, że drapieżnik był głodny.

Santal przerwał, zmęczony. W piekle południa męczył każdy wysiłek, w skroniach łomotała krew, bezwład ogarniał ciało.

19 Pomyłka Kapuścińskiego, niewychwycona przez redaktorów i korektę – krokodyle to gady.

Pociągnął łyk napoju, przesunął językiem po spieczonych wargach. Jakby dla odpoczynku – powiedział:

– Widziałem jego nóż. Ma 15 centymetrów, przy końcu jest zagięty. Można nim obcinać gałęzie, ale to nie jest broń na dżunglę. Nigdzie człowiek tak nie potrzebuje prochu jak tam.

Przerwał i po kilku minutach powrócił do tematu.

Szaleniec ruszył tropem

– Kanthan ruszył tropem tygrysa. Miał ze sobą ten nóż, pałkę i odrobinę jedzenia wziętą z domu. Wiesz, że nie mógł tego mieć dużo: rodzice byli zadłużeni u obszarnika od lat.

Dżunglę znał, zdeptał ją nieraz szukając miodu i owoców. Jest jak my wszyscy, szczupły, wytrzymały, o małych ruchach. To mu teraz oddawało usługi. Ale o zmierzchu zgubił ślad tygrysa. Noc przewarował na drzewie, noc z duszą na ramieniu, bo to przecież dżungla: wszystko szczyrzy zęby. O świcie ruszył dalej. Nie wiedział, gdzie iść, obchodził naokoło wzgórze, nie mając jasnego planu. Już nie polował: włóczył się. Co w nim wówczas brało górę? Zawziętość, wstyd, czy zwykła nuda?

– Przez cały czas nie zoczył tygrysa. Ale szedł dalej. Trwało to – jak mówił potem – dwa dni i dwie noce. Był zmęczony. Pomyślał, że tygrys odszedł w inne strony, że minęła groźba dla Kodayaru. Więc zdecydował się wrócić. Trzeciego dnia w południe znalazł się blisko wsi. Miał jeszcze pół mili drogi od tej polanki, na którą zaszedł.

– Jak twierdzi, postanowił zaczekać do wieczora: wstydził się pokazać na wsi w blasku dnia. Usiadł na trawie. Prażyło słońce. Bronił się przed snem, strugając nożem swoją pałkę. O zmierzchu chciał wstać i wrócić do domu.

Santal przerwał i nacisnął dzwonek. Boy przyniósł tacę mandarynek, zaczęliśmy obłupywać je ze skóry.

Drapieźnik zjawia się niespodziewanie

– Oglądałem tę polanę – mówił po chwili. – Porasta ją bujna trawa, a od strony wzgórz okala zbita ściana lasu. Stamtąd wyszedł tygrys. Pełznął za plecami Kanthana tak, że ten nie mógł go widzieć. Kiedy wreszcie usłyszał szelest, drapieźnik nie był dalej niż o dwa metry. Kanthan gwałtownie obrócił się i... i tu zaczyna się ów wypadek – fenomen w dziejach myślistwa.

– Tygrys zatrzymał się. Opadł na tylnych łapach i napiął grzbiet: był gotów do skoku. Kanthan siedział, opierając się na prawej ręce, obrócony przodem do przeciwnika. W prawej dłoni miał nóż, a więc nie mógł go od razu użyć, ponieważ nie wolno mu było w takim momencie nawet drgnąć. Lewą rękę miał wolną.

– Najpierw zaczęła się, jak zwykle w takich dramatach, walka oczu. Dwie pary źrenic mierzą się do dna i obie odczytują to samo: śmierć. Być może jest to jedyna chwila, kiedy przez mózg drapieżnika przebiega iskra myśli – ale zostawmy na razie te rozważania.

– W następnej sekundzie tygrys skoczył. Kanthan odruchowo wyciągnął przed siebie rękę. Dłoń była zaciśnięta w pięść. Tygrys skakał z rozwartym szeroko pyskiem i ręka Kanthana uwięzła w gardle bestii. Ostatkiem sił i raczej już podświadomie wpakował nóż w tygrysią pierś. I zemdlął.

– W godzinę po wypadku przechodzili tamtędy ludzie. Zobaczyli człowieka i tygrysa w śmiertelnych uściskach. Przynieśli wodę i ocucili Kanthana. Był trochę potłuczony. Jego ręka tkwiła w gardle przeciwnika i mimo wysiłków nie mógł jej wyciągnąć. Chłopi rozplatali zwierzęciu pysk, przecięli gardło. Teraz Kanthan był wolny. Jak się domyślasz,

ręka na którą nadział się z impetem tygrys, była przyczyną jego śmierci: drapieżnik udusił się.

– Oczywiście cały Kodayar wyszedł na miejsce wypadku i Kanthana uroczyście zanieiono na rękach do wsi. Chłopak jest tam dzisiaj półbogiem.

– I to – kończył Santal – to już jest wszystko.

Tak, rzeczywiście to było wszystko, co opowiedział mi Santal – hinduski myśliwy – o niezwykłym wypadku, jaki zdarzył się w roku 1956 z tygrysem, którego pokonał Kanthal – nicpoń z Kodayaru – wioski zagubionej pośród lesistych wzgórz Mahendragiri.

5 lutego 1957 roku

Stacja donikąd

Świat kręci się obojętnie, nie myśląc o Sealdah Station, ludzie z Sealdah Station siedzą obojętnie, nie myśląc o świecie. W ten sposób jest to, co jest, a nie ma tego, co być powinno.

A więc Sealdah Station, ogromny dworzec wschodniej dzielnicy Kalkuty²⁰. Podmiejskie i dalekobieżne pociągi przyjeżdżają i odjeżdżają z kilkunastu peronów. Co chwila – bo ruch jest piekielny. Chrypią megafony, krzyczą tragarze, potrącają się podróżni, turkoczą wózki, ryczą krowy, grożą policjanci.

– Prędeży! Prędeży! – wołają podróżni, którzy chcieliby pędzić do pociągów.

20 Kalkuta (obecnie Kolkata) – trzecie pod względem wielkości (15 mln mieszkańców) miasto w Indiach leżące w delcie Gangesu, od 1772 aż do 1912 roku stolica Indii Brytyjskich.

– Prędeży! Prędeży! – wołają podróżni, którzy chcieliby szybko wysiadać z pociągów.

Ale to „prędeży!” jest tylko symboliczne. Jest batem, który nikogo nie może popędzić: tłum porusza się ślimaczym chodem. Daję nura w strumień ludzi, strumień cieknie do stojącego na peronie 4 składu, który zawiezie nas na odległe przedmieścia Kalkuty. Ludzie za mną napierają co siłą, ludzie przede mną ledwo mogą iść. Wszyscy więc jesteśmy ściśnięci, a ja jeszcze nie wiem, dlaczego. Niestety, dowiaduję się bez trudu.

Perony są szerokie na kilka metrów, długie może na sto. Z tego dla podróżnych pozostały ledwie dwa wąskie pasy na skrajach betonu. Reszta zatłoczona jest ludźmi, którzy siedzą, leżą, klęczą. Nie mają gdzie iść, nie mają co z sobą zrobić, to uchodźcy z Pakistanu²¹, to *refugees*. Mają dach nad głową (dworzec jest kryty) – więcej nie mogą mieć niczego. Zresztą na więcej trzeba mieć siły, siły daje jedzenie: nie mają jedzenia.

21 W roku 1947, gdy pod odzyskaniem niepodległości Indie Brytyjskie podzieliły się na muzułmański Pakistan i hinduskie Indie, ruszyły w obie strony ogromne fale migracji. Uchodźcy krążący między obu państwami byli przez lata wpisani w krajobraz dróg i wielkich miast regionu. W roku 1956, gdy Kapuściński akurat był w Indiach, Pakistan przestał być dominium brytyjskim z generalnym gubernatorem – proklamowano islamską republikę, ogłoszono też konstytucję.

My, podróżni, którzy posiadamy bilet, jedliśmy śniadanie i obiad, mamy kilka rupii w kieszeni, my wielcy bogacze wobec tych nieszczęsnych, posuwamy się wolno przeznaczonym nam skrawkiem peronu. Jeżeli któryś z nas jest nieostrożny, może deptać po rękach, po ciałach, po głowach: nie usłyszy słowa protestu. Jeżeli któryś z nas jest uważny, stara się przejść tak, aby żadnego z *refugees* nie dotknąć. Ale jest to niezmiernie trudne. Między tłumem idących i tłumem leżących nie ma bariery. Wszystko się miesza. Ledwo raczkujące niemowlęta chcą wypelznąć na skraj peronu. W ściśniętym, zgorączkowanym tłumie nikt nie jest w stanie zatrzymać się, pochylić i odciągnąć malców. Może tylko nogą odsunąć je z powrotem. Od wielkości serca tego, który to robi, zależy, w jaki sposób wykona on ten gest.

– Prędejj! Prędejj!

Stara kobieta wysupłuje garstkę ryżu, waży ją na dłoni i w tej chwili potracona ręka rozsypuje ryż w błoto pod stopy idących. Zgraja dzieciaków rzuca się nam pod nogi i wyrywa sobie białe ziarna. Ale oto zamożna rodzina, na kawałku blachy staruszka smaży wnętrzości jakiegoś zwierzęcia. Już cuchną i z tego miejsca bije odór nie do zniesienia. Ale widzę, jak kilkadziesiąt oczu śledzi każdy gest staruszki: nie wiem, na jakie bogactwa patrzy się takim spojrzeniem.

Pociąg stoi niedaleko – prędzej! prędzej! – jeszcze dwadzieścia metrów koszmaru. Kobieta pół naga leży na betonie. Ma zamknięte oczy – sen czy omdlenie? – u jej suchych piersi wisi dwoje niemowląt. Płaczą. Młode małżeństwo pokłada się do snu. Zасыpiają, obejmując się. Matka pali mocny tytoniowy liść zwinięty w cygaro na przemian z dwuletnią córką. Tłum szkieletów owinięty w łachmany, wśród zapachów potu, moczu, brudu. Z tych miejsc nie ruszają się w dzień i w noc. Całe ich życie toczy się na oczach podróźnych, wobec dziesiątków tysięcy, które przyjeżdżają i odjeżdżają z Kalkuty o każdej porze.

W blasku lamp twarze *refugees* są zszarzałe i nieruchome. Nie wyrażają nic. Nikt nie płacze, nikt nie grozi pięścią, nikt już nawet nie żebrze. Nie reagują na nic, niczego nie oczekują. Żyją jakby w innym świecie, którego ani oni, ani nikt inny nie jest w stanie zrozumieć.

Zdawałoby się, że elementarnym odruchem człowieka w takich warunkach jest próbować sklecić sobie jakiś szałas, zdobyć jakieś pożywienie, urządzić demonstrację, kraść czy rzucać się pod koła pociągu. Coś zrobić, czymkolwiek by te odruchy nie były. Tłum *refugees* na Sealdah Station wita i żegna dzień, spędza swoje noce w tym

samym miejscu, nie zmieniając nawet pozycji ciała, opuszczony, zastygły i milczący.

Ale oto już pociąg. Pociąg wiezie nas na przedmieścia Kalkuty, wiezie nas za miasto i wkrótce przekonujemy się, że cała Kalkuta otoczona jest pierścieniem slumsów, szałasów, domków i domów, które postawili i w których mieszkają uchodźcy z Pakistanu. Inny pociąg wiezie nas do Czandigarhu²² gdzie piękne i nowoczesne osiedla rząd Indii oddał uchodźcom. Autobus z Delhi wiezie nas do Faridabadu²³, uroczej miejsciny zbudowanej przez państwo dla *refugees from Pak* – uchodźców z Pakistanu.

Cała ta sprawa jednak – tj. kwestia *refugees* – będzie zupełnie niezrozumiała, jeśli nie wspomnimy o rozmowie Mr Cooka z Mr Smithem, którzy będą tu symbolizować politykę angielską w Indiach. Otóż obaj ci panowie poczuli już przed wielu laty, że Indii nie da się utrzymać jako kolonii, że Indie w końcu się wyzwolą.

Wtedy Mr Cook powiedział do Mr Smitha:

– Czy nie uważa pan, że musimy osłabić te przysze państwo?

22 Czandigarh – miasto w północnych Indiach, stolica stanów Pendżab i Haryana.

23 Faridabad – miasto w stanie Haryana na Nizinie Hindustańskiej.

– Owszem, uważam. Ale jak?

– Otóż, Mr Smith – jak panu wiadomo – Indie zamieszkuje 254 mln Hindusów i 92 mln Muzułmanów. Góra hinduska – to burżuazja, oni chcą żyć bez nas. Ale góra muzułmańska – to feudałowie, nasi sojusznicy, oni mogą żyć tylko z nami.

– Więc cóż z tego Mr Cook?

– Otóż można by stworzyć z Indii dwa państwa: hinduskie i muzułmańskie.

– Ależ w tym kraju, Mr Cook, nigdy nie było większych waśni religijnych. Hinduizm jest najbardziej tolerancyjną wiarą na świecie!

– Och, niechże pan będzie rozsądnym politykiem, Mr Smith. To się da zrobić!

I rzeczywiście – to się dało zrobić. Tuż po wojnie w Indiach wszczęły się rzezie religijne, rozszalałe tłumy judzone przez sprzedajnych przywódców wyrzynały się do nogi. Wtedy Mr Cook i Mr Smith wystąpili w roli dobroczyńców. Powiedzieli: – Jeśli my stąd pójdziemy, wyginiecie. W trosce więc o wasze życie dzielimy Indie na dwa kraje: Indie i Pakistan. Pierwszy kraj – dla Hindusów, drugi – dla Muzułmanów. I stało się: dwie bogate prowincje północnych Indii, Pendżab i Bengal, podzielono w 1947 r. na pół i utworzono Pakistan. Zaczęła się największa w nowożytnych dziejach wędrówka

ludów, trwająca do dzisiaj, bo ludzie z Sealdah Station – to jej uczestnicy.

Dziesięć milionów ludzi przewędrowało z Pakistanu do Indii i z Indii do Pakistanu. Z pielgrzymką szedł głód, epidemie, walki. Zginęło w czasie tej wędrówki 200 tysięcy ludzi.

Podział zniszczył gospodarkę: zrujnował systemy nawadniania, oddzielił szereg surowców od fabryk. Stworzył dwa nieprzyjazne sobie państwa.

Do dziś ci Muzułmanie, którzy chcieli opuścić Indie, już wyjechali. Ale we wschodnim Pakistanie pozostała część chłopów hinduskich, którzy tam mają ziemię i pragnęliby żyć na niej dalej. Nie mogą: dziki, ślepy szowinizm muzułmański pędzi ich poza granice kraju. Każdego miesiąca przybywa około 20 tysięcy tych uchodźców do Indii. Indie nie miały środków, aby ich utrzymać. Wracali do Pakistanu. Pakistan wyrzucał ich do Indii...

Szlachetny jest wysiłek rządu Indii w ostatnim okresie. Część *refugees* otrzymuje ziemię, dostają zapomogi, buduje się im domy. Parlament przeznaczył na pomoc uchodźcom sumę trzech miliardów rupii. Ale to ciągle za mało. Sealdah Station istnieje naprawdę. Ludzie na peronach też. A także Mr Cook i Mr Smith, którzy zacierają ręce.

14 lutego 1957 roku